

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(7)



Fot. Andrzej Dębkowski

Lista osób, Amerykanów, których zaangażował w sprawę polskiej literatury jest długa, a poetów i pisarzy polskich, których przekładał na język angielski, jest jeszcze dłuższa. Nie mam zamiaru podawać nazwisk tłumaczy czy tytułów książek, które dzięki Miłoszowi ukazały się w języku angielskim. Chwała mu za to, za jego cierpienie z powodu braku miłości i miłość do języka polskiego. Wraz ze swoimi studentami pracował nad przekładami poezji i prozy polskiej. „Zakładał bazy kosmitów”, budował mosty z wierszy dla „obcych”, po których zapraszał do odwiedzenia jego planety. I tak powstają dwie bardzo ważne książki, dla wszystkich uczących się literatury, kultury polskiej w anglojęzycznym świecie: antologia wierszy polskich, wydana w 1965 (*Postwar Polish Poetry. An anthology*) oraz historia literatury polskiej z 1969 roku (*The History of Polish Literature*).

Ten kosmita, tytan pracy, potrafił wyłączyć się ze studencko-wietnamskiej burzy, tkwił w niej na tyle, ile musiał, w każdej chwili był gotowy „przejsć” do swojego świata i znaleźć spokojne miejsce, „szalonej pracy” w lesie dla kultury polskiej, europejskiej. Drewniany domek na zadrzewionym stromym wzgórzu na „Kurzaj Stopce” był jego arką, w której oczekiwał na spokojniejsze i lepsze czasy.

Biedni i emigranci wobec wojny w Wietnamie

Bogaci wysyłali swoich synów do Kanady, jeszcze bogatsi do Europy, aby tam studiowali lub byli przedstawicielami ich firm handlowych. W ten sposób chronili swoich synów przed powołaniem ich do wojska. Na wojnę szli najbiedniejsi, pochodzący z najniższych warstw społecznych, najczęściej synowie farmerów i robotników. Na wojnę szli również synowie i wnuki emigrantów, w tym również

tysiące Amerykanów polskiego pochodzenia. Wielu z nich odda życie za Amerykę, nazwiska ich znajdziemy na tablicach Vietnam Veterans Memorial Wall. Wielu przeżyje, będą weteranami wojny, otrzymają przywileje, będą pierwszymi, którzy otrzymają pracę, bezpłatne leczenie czy możliwość studiowania. Tylko niektórzy skorzystają i skończą studia, zdobędą zawód, a także podwyższą awans społeczny poprzez naukę. Wojsko w Ameryce (poza sportem) dla wielu emigrantów i rodowitych Amerykanów z klasy robotniczej, dołów społecznych, to trampolina do lepszego życia, daje szansę na wygodniejsze bytowanie, dobre płatny zawód. Wojsko, armia amerykańska, zawsze potrzebuje chętnych, a hasło *I want you* (Potrzebuję cię) wciąż jest bardzo popularne i aktualne.

W San Francisco zaprzyjaźniłem się z wieloma weteranami, byli to Wietnamczycy z Sajgonu, żołnierze i taksówkarze, właściciele restauracji i burdeli, jacyś ciułacze, ciułający grosz do grosza, którzy chcieli dorobić się na wojnie i Amerykanach i razem z nimi uciekli po dojściu komunistów do władzy. Wielu z nich uczyło się języka angielskiego lub zawodu razem ze mną, wielu z nich przeszło przez obozy dla uchodźców w Azji, na wyspach filipińskich, zanim przybyli do Ameryki. Byli też amerykańscy Polacy i rodowici Amerykanie. Moim serdecznym przyjacielem był żołnierz – sanitariusz, hippis, Richard Rehl, (załatwił mi dobrze płatną pracę, wprowadził w świat Tai chi, a gdy poszedłem na studia dziennikarskie na City College of San Francisco, pomagał mi odrabiać lekcje). Po powrocie z Wietnamu, na koszt państwa skończył jakiś trzeciorzędny college medycyny dalekowschodniej, ale chyba nigdy w swoim zawodzie nie pracował. Z czasem stał się tłumaczem mojej poezji na angielski, był synem polskiego żołnierza kampanii wrześnieowej, który przybył do Nowego Jorku na początku lat pięćdziesiątych z Niemiec. Polskie nazwisko zmienił na angielskie, aby mieć łatwiejsze życie w kraju *redneck* (obraźliwe określenie robotników rolnych). Richard pracował jako apartament manager przez wiele lat, ale do czasu, kiedy to pewna zamożna pani, wdowa po właścicielu osiemnastu sklepów spożywczych w rejonie San Francisco, mieszkanka jego apartamentowca, wynagrodziła go za to, że przez ostatnie lata jej życia zaopiekował się nią tak dobrze, że nie musiała iść do domu starców. Wdowa, obrażona na własną rodzinę, która się nią nie interesowała, zapisała mu pewną sumkę z „sześcioma kołami”, pod warunkiem, że kupi sobie kilka strzelb z długą lufą i coś ze swoim życiem zrobi. Zostawiła też w spadku dziesiątki złotych zegarków, diamentowych pierścionków, złotych bransoletek, naszyjników z prawdziwych pereł itd. Gdy się o swoje pieniądze upomniał urząd skarbowy USA, Richard szybko kupił jacht pełnomorski, kilka strzelb i pistoletów, skompletował załogę i powoli, bez pośpiechu, jak stary zółw, popłynął do Meksyku, Puerto Rico, zabawił kilka długich lat na Antylach i Karaibach, a gdy te wydały mu się mało ciekawe, popłynął dalej przez Kanał Panamski aż na Filipiny. Od wielu lat się do mnie nie odzywa, od znajomych słyszałem, że żyje gdzieś pomiędzy wyspami filipińskimi a

indonezyjskimi. Dokładnie gdzie, nikt nie wie, wysp jest tam tysiące.

Wśród rodowitych Amerykanów też miałem sporo przyjaciół, byłych żołnierzy tej wojny. Moim przyjacielem jest Neal M. Warren, był na wojnie w latach 1966/1967. Urodził się na Wschodnim Wybrzeżu w ubogiej rodzinie farmerów, szkoły żadnej nie skończył, w wieku 20 lat poszedł na wojnę. Od roku 1969 chorował na Post Traumatic Stress Disorder (zespół stresu pourazowego, zaburzenie stresowe pourazowe). Od 1969 do 1983 roku miał ośmiu, dziesięciu terapeutów, żaden z nich mu nie pomógł. Spotkałem go na jednym z wieczorów poezji w Hospitality House w San Francisco, zaczął pisać wiersze, interesować się poezją. Wtedy był włóczęgą wędrującym po całej Ameryce, zatrzymywał się na noclegi w przytułkach dla bezdomnych. Poezja była dla niego terapią – w przeciągu kilku lat wyleczył się, pisał przede wszystkim o wojnie i jej okrucieństwach, o tym, co przeżył, czego doświadczył. Razem w roku 1986 wydaliśmy tomik wierszy pt. *Anteroom Poetry*, a niedawno w roku 2017 tom pt. *Old Songs*, wiersze po angielsku i niemiecku. Poezja pomogła mu lepiej niż terapia i lekarze, na koszt państwa wyuczył się zawodu, został informatykiem, pracował dla armii amerykańskiej w USA i w innych krajach świata. Młodość przygniotła go wojną i stresem, nędzą i depresją, ale na jesień życia ożenił się z młodą kobietą, Niemką, którą poznał podczas służby w Niemczech. Ta nie tylko została żoną, tłumaczką jego wierszy na angielski, ale była cudownym człowiekiem, dała mu ciepło i zrozumienie, radość życia i szczęście. Teraz ma dom, dwa wielkie psy wielkości cielaka każdy, kilka tysięcy dolarów emerytury. Żyć nie umierać, pisać wiersze.

Ale wracamy do Kalifornii, wojna w Wietnamie jeszcze bardziej pobudziła, inspirowała do twórczego życia. Zachodnie Wybrzeże Ameryki – które oprócz bitników i hippisów na dobre zadomowionych w miastach San Francisco, Los Angeles, San Diego – stało się wielką bazą wojskową. Ulice tych miast wypełniły się młodzieżą, idącą na wojnę i protestującą przeciwko wojnie. Takiej „gorączki”, takiego kłębowiska ludzkiego nie widziano tam od czasów odkrycia złota w XIX wieku. Powstały ugrupowania, o których nasz poeta, mówiąc ogólnie, wiedział, ale z żadnym z nich się nie identyfikował.

Antyimperialiści – uznający Stany Zjednoczone za agresywne mocarstwo prowadzące politykę imperialną przeciwko rewolucyjnemu Wietnamowi.

Dla nich nie było ważne, że Wietnam „wpadnie” w ręce komunizmu, który zniszczy, zabije, zada ból milionom niewinnych ludzi. Byli też pacyfiści – protestujący przeciwko wojnie jako takiej, stosujący w protestach taktykę *non violence* (bez przemocy) i nawołujący do natychmiastowego wycofania oddziałów amerykańskich, tych oskarżono o brak patriotyzmu. Wreszcie liberałowie, przedkładający nad wojnę tradycyjne formy politycznego nacisku i nawołujący do negocjacji pokojowych. Ich atutem w rękę było to, że Wietnamczycy właściwie nie wygrali żadnej bitwy z Amerykanami, ale wygrali całą wojnę.

cdn.